

Obryzgania

Złudne dryfowanie po zdrewniałej powierzchni, nie jesteś bowiem
Przytroczony ani odpięty, bezładne przemieszczania po jaskiniowej, ale wciąż
Otwartej przestrzeni, harmonizowanie chaosu i wmarzanie w suchy płat
Dookolnej mierzwy, są twoją poszlaką w niedowodliwym ciągu
Skadrowanych razów, postaci coraz mniej przezroczystego akwalungu,
Dzięki któremu jeszcze oddychasz zaraz nad dnem. Postrzępione łuki

Powolnie wyzierających zgliszcz, gdzieś na skale omam zaniku, trzy
Krzyżujące się drogi, skład uszczerbionych i niepełnych zwad, jak
Oniemiały powidok, nurkujących w krwiobieg każdego wydechu, bo tylko
Tyle z tego jeszcze mamy, by tkwić w tym rozchobotanym wolnym czasie,
Wyginając na parę dni pręty w kostnej klatce, by przeziarać przez to
Wyjście aż po pierwsze kopce niedosiętych miejsc, gdyż tylko tu, skąd
Rzuca się w topiel cień, jest początek i koniec równoleżnika, owe grube
Nacięcie na skroni globu. W tym deszczowym pościgu przegrało się
Z każdym podrzuconym progiem, niebo osiadło na płocie, odepchnięty
Kraj skowycze w gardle niemowy, i zaraz będę zmieniał wachtę, przy

Twoim grobie nikt nie odpala znicza, tymczasem chroni nas pokój na piętrze
W przydrożnym domu i możemy wydtubywać górom kolejne rowy. Do imentu
Ciągnie już prawie zawsze. Adres jest tylko w magnesie. Suchy przybój
Bieżącej sieczki zasysa otwory w lejkach, jakie nasadzone ma każdy
Nuworysz chełpliwego doznawania przyjemności, w swej skośnie zacinającej
Zamieci potracenia się na tym rażącym obwodzie, samym centrum
Nieskończoności błędzenia po wyrwach, owych stałych pamiątkach opuchłych
Od wyrzeszczanych pretensji prosto w twarz, obryzganiami prędko
Zasychającym łajnem, którym faszują cię przekąźniki zawsze sfabrykowanych
Wiadomości na potrzeby wzmoczenia lęku przed życiem w trwałym zaprzęgu,

Sterowanym sękatym dyszlem, w karnej krzyżówce hasel szyfrowanych przez
Niefinezynny kaprys trzymającego bicz. Oddalamy się tylko na chwilę od stale rosnącego
Obciążenia, kiedy z glinianej przebitki pory wylęga spopieleny zachód anonimowej
Jutrzni, ekspandując przed nocą w przepastną dziurę szarego odbłyśku, który
Ciosa w nas widlasty szwung, pochłaniający szczątki azymutu aż po pierwszy,
Wyczuwalny osad pustki, tak, że jesteśmy ostatecznie byle gdzie, choć wciąż
Z kluczem do zamka czekającego w grząskim rogu, odlanym ze szczętu i zgrzytu,
Jeszcze w przedsionku, tymczasowej kubaturze, czekając na nowy zaciąg
Piotunowych dni, ów eon sztywniejącego kroku dookoła wnętrza tej ołowianej bańki.

Nicestwienia

Prawda leżąca pośrodku jest gnilnym łożyskiem wcześniejszego wyboru
Przychodzenia z niczym innym, owymi pokruszonymi kawałkami bezdennych stąpań
Po zimnych obręczach nakładanych na siebie racji. Miedziane rurki przetykają górne
Rogi ścian od drzwi aż po kuchenny świt. Kratka wywietrznika skrywa labiryntowy
Szyb. Chodzimy po nim za dnia każdego ciężenia w przedmiar strat, jakby się nigdy
Nie było trefnym losem wyjętym wprost z cylindra danego ujrzania zmiennych
Niewiadomych, rozpruwających parciane rżysko chwil. Obrzęk kierunku obejmuje
Również tylny zwrot. Dokopanie się do ogniw wciągniętych przez lejowaty miot,
Na moment oddala od kurhanu tego przywidzenia, czym nie okazał się nigdy
Przegrodzony szpadlami świat. W każdym nacięciu, posoce mrowiącego tła,
Zjeżonego od licznych wyładowań kamiennego echa, zagęszcza się żrący opar

Wieloletniego przepadania w litą studnię poziomego zagrzebania się w twarzeniejących
Występach przyspieszanych skazań na czerstwy wydech tak samo ułożonego domina
dna.

Kimkolwiek pozostaniesz, nie zdzierzysz testujących cię prób, rozrytych jak spękane
Kopce, z których wylęgnie się samonapędzający strach przed drabiniastym zejściem
W gliniasty dół, jaki wykopują pod sercem razy bieżących zwarć z cementową
Maską miasta dogadzającego wprzód głównym marom, roszczącym sobie prawa
Do przechodzenia przez rwący nurt suchą stopą, nadwątlającym fioletową smugę
Ciernistej jamy, w której tłoczy się z innymi każdy z nas, przypadkowy cień
Zasnowiący wszelki rozbrat z namagnesowanym taśmociągciem, z wierzchołka
Którego rozwiewa się już tylko pył. Wypal krąg i przykryj go dookólną perzyną,
W jego środek przeholuje cię kłęb omyłkowych wierzeń w rośnięcie czterokątnych

Stron, hodowanych na kurzym łajnie, z tygodnia na tydzień skracanych do owalu
Pętli, codziennej obdukcji pustki, jaką przetacza się krew. Widłami wydtubany zew.
Wszyta spirala chceń. Scalony z odłamków rdzeń, spóźniony na każdym kroku sygnał
Rozpadu, nicestwienia coraz rzadszych szczelin, chłonny tego krach. Ślepe serie
Złośliwego losu są częstsze niż jakiegokolwiek inne, pokrywające podwórkowe fasady
Niekórych kamienic, gdyż najpierw oznajmia to zdrętwiały głos, a potem już tylko na-
stępują

Skupienia na technikaliach wyrażanych w sposobach opuszczenia matni, jesteśmy
Bowiernie nieustannie na podołku, nad którym rdzawo połyskuje ostrze gilotyny, w cieniu
Jego sznura, poszumie obłąkanego pędu miasta, żarłocznego ruchu cząsteczek fenolu,
W stale rosnącym przededniu beładnie wycelowanego wyroku, jakby każdy wykonany

Ruch czy gest był machinalną obroną, która jednak prędko przeistacza się w cios zadany Samemu sobie. Nie ucieka się już przeto w jakieś konkretne miejsca, schroniska Parodniowej zatrały, lecz zawsze brnie się w ucieczce przed anonimową pochylnią Daty, eszelonie zbitym z drzazg, wiozącym cię do zapadliska dłuższego niż przesył Karkołomnego wizgu utraty. Dosiegamy tylko krańca. Na wypłowiach, trawiastych Polach czuć zawiewany swąd, wyrzucane grudy w zarośla sprężynują gałęzie Krzaków, opadające jak czad liście pełzną niczym poświata, gorzki osad pokostu Spierzcha wargi wysuszone stałym świstem. Dokąd możemy jeszcze odjechać, skoro Tarasowane są iperytem odmów każde ujścia, kiedy chód to tylko niekończące się Potknięcia, obustronne ciągi dzideń, które automatycznie szatkują niemo utkwioną

Twarz w strzelniczym oknie ościstych wydm, jakby mieszkało się w komórce piaskowej Burzy. Wytracenie szkwału płóz. Wytracenie lodowych kryz. Wymiecenie długie

Jak rzeszoto. Kto przetnie metę tego początku kottującego się na czubkach szpilek Wbijanych w korkową matę narastających obwieszceń, by zsunąć się w oszroniony Rękaw kaftana wiotkiej jawy, tego zadzierzgnie, nieprzedawniony już nigdy potem, ślad Po wyrwie piętnującego odebrania. Kuglarsko pochwycony trop jest szalą chybotliwie Wydłużającą krawędź pośledniego przepychania się wokół niczego, aż po wpust polarnej Próżni. Odkaszluje więc siebie, odrywając z krtani flegmę ostatniej luki czasu, jakby Naprzeciw siebie miał pałąk kogoś innego niż ten opadowy rys, i na przelomie miesiąca Wchodzi w drugie kwilenie roku. Przyrost strużyn z ogarka pozostania potęguje tylko Pnący się zakosami zaświat obranego przez zanik zwołu, który za każdym razem jest Źródłem stałego skrzyżowania, piołunową wnęką płytkiego pochowania obróconego prochu.

Wielokres

Wielokierunkowy rozstrzał próżni, coraz wyżej podchodzący, aż po czubek masztu, Skąd promieniście emitowany jest dookolny swąd, gęstniejącej niczym talk W rwanym oddechu, na początku przędzonej nicością mety. Nieustannie bowiem W kostniejącej mgłę, ukrochmalonym, zgrzebnym płótnie półkuliście Osaczającej zapaści tej bezdennej płaskości, nadziewającej na coraz dłuższy rozeń, Na którym obracasz się tylko w jedną stronę, aż po stałą już nudność, bo nie Umykasz w żaden bok, tkwiąc tylko naprzeciw ściernych stanów, głuchoniemych Stanowisk sterowanych przez zaciąg potakiwaczy, pełzających po rozchodzących

Się koleinach w odwieczne już nigdzie indziej, wyzerowanych z poziomów Niecodziennych zjawień. Niczego bardziej wszak wcześniej nie było, skulenia i Rachityczne odbicia, parochwilowe wrzucenia w mikroujścia poza tę sparciałą Wnękę, gdzie kłuło się bezpowrotne odchodzenie. W przededniu zwrotu, poza Tamą innych napięć, masz w sobie rosnący posiew z wcześniejszych spopieleń, Dający odczyn przyboru braku, ów wielokres zaszyty w każdym tyknięciu Puchnącej od mrowiącej zadyszki rundy, skłębionego pastwiska dla rojnych chybień, Mylnych ustaleń co do momentu odliczania każdego nastania początkowych Faz sięgania w sedna mnożących się zatarć. Pozostaniesz więc jeszcze bardziej Przygwożdżony, rozpięty na pionowych motowidłach tego zatarasowania,

W obelżywym harmidrze wydarzania się preparowanych faktów o rosnącym Dobrostanie, fatamorganie przesłaniającej oborę tego miejsca, skąd zejdzie Wszystko w płytki zanik. Dokładnie odmierzasz stopnie, które u góry nie wydają Się węższe, i dopiero, kiedy zatrzymujesz się w połowie tych schodów, mokra od Śniegu brukowa kostka okazuje się ostatnim podłożem dla skracanych i wydłużanych Kroków, w lekkim ukosie zmierzających aż po końcowy stopień, od dołu będący Pierwszym, jak próg, przekroczeniem swego spodu. Zwichrowany tego przestwór. Obok zakopane bajoro, nieopodal kikuty martwych koparek, powyżej tego Równoleżnika, przy którym stoisz, wyznaczając jego bieg zostawianymi za sobą Śladami, ażeby demarkacja mogła być ruchomą cumą, jak spadziste sito Niezblokowanych dni, w tym zaognieniu na linii strzału lub przecięcia w poprzek

Piramidalnych wyrw, jakie zgnębiają każde wyjście z tego płaskoniżu trąceń, by Scalenie mogło być nareszcie tak długie, jak szew błyskawicy i momentalnie Krótkie w swym jaskrawym przepołowieniu głębi odśrodkowego rozpadu. Tymczasowe Kołowanie nad porannym szykiem obieranej strony, kiedy szablonowe kształty Postaci szykują ci parodniowy ugor ponieważ między zwisającymi pętlami, W których kontrola obecności będzie wahadłowym odmierzaniem wysokości przyboju, W tym niedochodzeniu poza parapet, skróceniu siennej dali po zaokienny morowy pas. Korce szklanych odprysków. Przeciążenie trapu aż po ujadający wizm. Uwiad Twardniejący jak hartowany rylec, przewilgły siennik lotnych odmów, gdy Kolejny tego szczep jest jak odgięty na framudze zawias. Ciasne wejście kąta w kąt.